

## NA SCENIE

Jacek Wakar, Polskie Radio

**N**ie wiem, czy patrzę na świat z tego samego co Lupa okna” – pisał przed laty o spektaklu „Lunatycy” mój mistrz w krytyce Andrzej Wanat. Ze mną było inaczej. Przez lata wiedziałem dobrze, że mój świat nie ma wiele wspólnego ze scenicznymi opowieściami Krzysztofa Warlikowskiego. Kiedy po „Oczyszczonych” Sarah Kane pisano, że po tym przedstawieniu nic nie będzie już takie same, buntowałem się. Dopiero odległy już o dekadę „Krum” Hanocha Levina odmienił moje spojrzenie. Zobaczyłem w tej ściszonej inscenizacji głos także mojego pokolenia. Gorzki bilans strat, bez jakichkolwiek zysków. Przejęło mnie, że owo wspaniałe przedstawienie zrodziło się ze zwątpienia artysty, z niepewności, czy zostanie jeszcze w teatrze. Kiedyś był dla mnie Warlikowski autorem poznańskiego „Roberto Zucco” i warszawskiej „Elektry”, potem oddalił się o lata świetlne. Od „Kruma” na nowo stał się bliski. Kolejne inscenizacje czasem trafiały w punkt, innym razem chybiały celu. Mimo to jednak Warlikowski stał się punktem odniesienia. Poetą teatralnej melancholii, w którego przedstawieniach przeglądałem się z własnymi emocjami. Rzadka sytuacja.

Znamy w Warszawie jednego Warlikowskiego. Ten drugi realizuje wielkie widowiska operowe na najważniejszych scenach Europy – w Paryżu, Monachium, Brukseli. Niedawno głośno było o „Don Giovannim” Mozarta, przeczytanym przez reżysera poprzez słynny film Steve’a McQueena „Wstyd” i jego opętanego seksem, autodestrukcyjnego bohatera. Ci, którzy śledzą operowe dokonania twórcy, podkreślają, że coraz częściej przynosi rozwiązania z tych inscenizacji do swych prac w Nowym Teatrze. „Francuzi” byłby potwierdzeniem tych słów. Rzecz nawet nie w wystawności dzieła, lecz w skali spojrzenia, z którą równać się mogą w ostat-

wraz ze współautorem adaptacji Piotrem Gruszczyńskim przyjmują całym odmienną strategię. Nie wybierają fragmentu, zostawiając całość. Po siedmiu księgach Prousta poruszają się ruchem konika szachowego, ale nie ma w tym krztyny przypadkowości. Ze wszystkich tomów wybierają wątki, sceny, obrazy albo jedynie refleksy. W niemal pięciogodzinnym wieczorze nie dają oczywiście wrażenia obcowania z pełnią arcydzieła, ale pozwalają poczuć jego smak. To zatrzymany w długich teatralnych chwilach, rozbity na celebrowane bez pośpiechu sekwencje oniryczny kalejdoskop, układający się w kronikę upadku portretowanej przez francuskiego pisarza arystokracji. Tyle że Warlikowski nie interesują dawne i dzisiejsze klasowe

ojczyzny obudziło żyjące do dziś nie tylko nad Sekwaną demony. Dreyfus pojawia się na scenie grany przez Zygmunta Malanowicza na moment, ale w istocie nawet na chwilę jej nie opuszcza. Jest skazą na pozornie doskonałym świecie bohaterów Prousta, ich wyrzutem sumienia, śladem w świadomości przypominającym o jednym z grzechów założycielskich dzisiejszej zachodniej cywilizacji.

Dla autorów przedstawienia w Nowym Teatrze arcydzieło Prousta staje się mitem założycielskim, początkiem dzisiejszych podziałów, a wcześniej jakiegoś, choćby pozornego, ładu. Rzecz w tym, że Krzysztof Warlikowski odmalowuje to między wierszami, kreśląc sylwetki postaci z Prousta, Magdalena Cielecka jest Orianą de Guermantes,

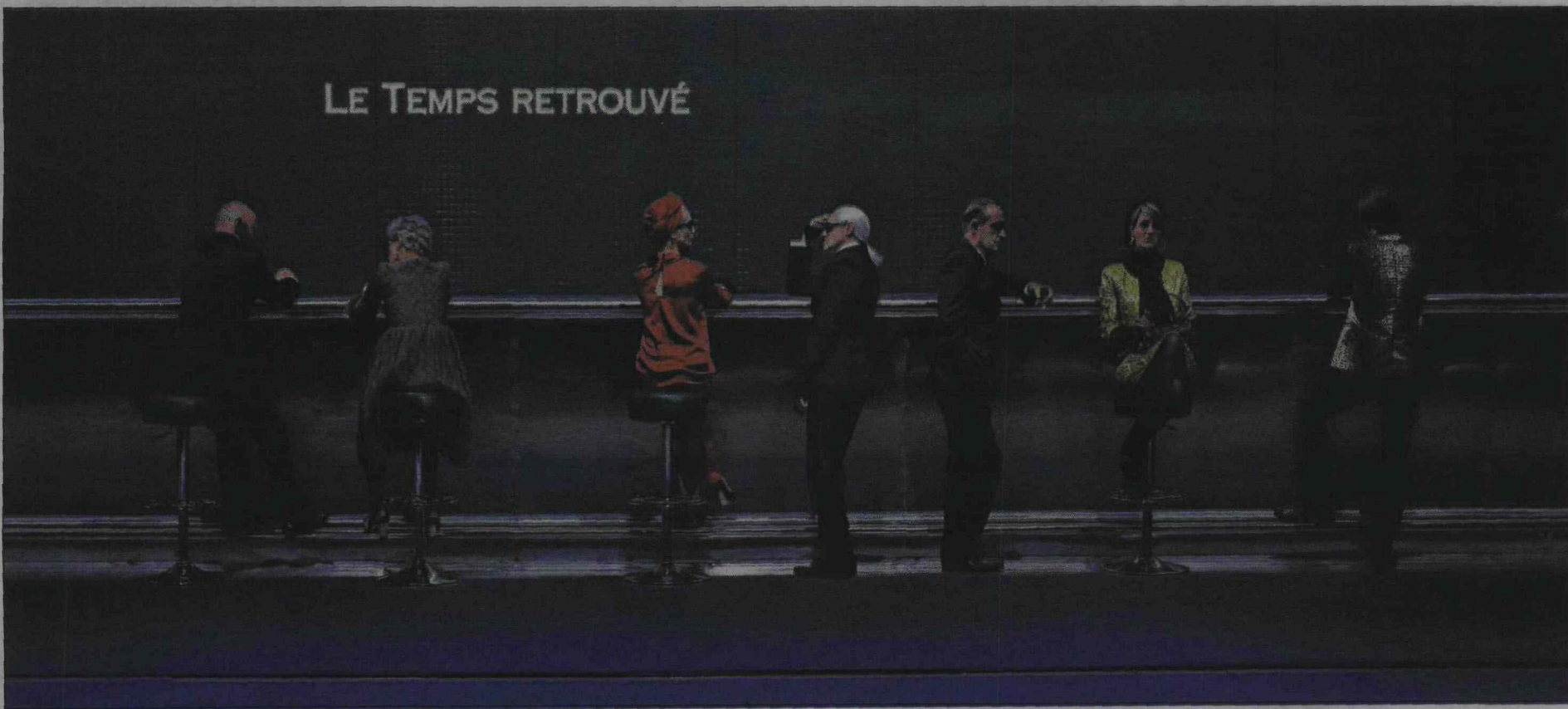
nowując. Pod wszystkim gestami i słowami czai się poczucie bliskiego końca, trudna do nazwania nieuchronność. Odmalowanie jej staje się równoległym tematem inscenizacji.

Inny ton wnosi przeżarty smutkiem Swann Mariusza Bonaszewskiego, raczej obserwator świata niż kreujący zdarzenia demiurg. Jeszcze inny ni to komediowa, ni mizantropijna Sydonia Verdurin Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik. Ze swą z trudem poskramianą ekspresją, ale i dziwną niedotykalnością w świecie „Francuzów” doskonale odnajduje się Agata Buzek, najbardziej poruszająca w końcowym monologu Fedry, zacerpniętym z arcytragedii Racine’a. Po „Kabarecie warszawskim” wiadomo było, że Nowy Teatr to wyjątkowy, rozumiejący się w pół gestu zespół aktorski. Nowy spektakl jedynie to potwierdza, w dodatku także dzięki aktorom stanowi przemawiającą bezpośrednio, może najbardziej komunikatywną, niemal pozbawioną miejsc niekoniecznych wypowiedź Warlikowskiego.

Chyba od pękniętego, choć frapującego „Tramwaju” wszystkie bez wyjątku jego spektakle wypełnia bezgraniczne poczucie melancholii, kontemplowanie końca, smakowanie schyłku. W mniej udanych przedstawieniach, jak „Opowieści afrykańskie według Szekspira”, czasem przeradzało się to w gest dla gestu, wręcz minoderię. W ostatnim przed „Francuzami” „Kabarecie warszawskim” uderzał jednak artysta w całkiem inny ton, mocnymi kreskami rysując obraz apokalipsy rodzącego się faszyzmu, a potem pamiętanego już przez nas zagrożenia terroryzmem. Tamto widowisko rozsądzała nieoczekiwana energia, widoczna przede wszystkim w przewrotnym ustawieniu scen kabaretowych oraz aktorskim popisie Cieleckiej jako Sally Bowles. Nowe przedstawienie przemawia mniej efektownie, skupia się na zgodnym z Proustem budowaniu autonomii scenicznego czasu, co zbliża „Francuzów” do wielogodzinnych, a nieodczuwalnych maratonów Krystiana Lupy. W takim ujęciu Warlikowski jawi się jako profeta, przewidu-

# Elegia dla Europy

„Francuzi” Krzysztofa Warlikowskiego to wywiedzione z Prousta gorzkie, choć zaprawione zjadliwą ironią pożegnanie ze Starym Kontynentem i budującym go systemem wartości. Skąpana w blasku celebrytów stypa dawnej arystokracji i manifest wykluczonych



nich latach tylko sceniczne wizje Krystiana Lupy. Być może „Francuzi” to najbardziej zanurzone w świecie Lupy przedstawienie Warlikowskiego. Jednak nie można zapominać o dzielącej ich różnicy pokolenia, szef Nowego Teatru był niegdyś uczniem krakowskiego mistrza. Składa więc spektakl z innych niż on elementów, daje mu inną temperaturę, każe pulsować innym, bardziej nerwowym rytmem.

Nie da się oczywiście dać w teatrze ekwiwalentu „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. Ludzie teatru i filmu zazwyczaj wycinali z monumentalnego cyklu mniejsze lub większe fragmenty i traktowali je jako zamkniętą całość. Wrócili do Combray i smaku magdalenek, jak w pastelowym „Ach, Combray...” Waldemara Matuszewskiego w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, albo decydowali się wyłącznie na jeden tom, jak w nieudanej filmowej „Miłości Swanna” Volkera Schlöndorffa. Warlikowski

podziela, w jego ujęciu salon jest – jak pisze w znakomitym programie do przedstawienia Joanna Tokarska-Bakir – stanem umysłu, a nie szczeblem na drabinie warstw społecznych. Autor „Francuzów” przygląda się salonowi z okrutną ironią, aktorzy Nowego Teatru fenomenalnie celebrują pozy i gesty znudzonych jego gwiazd. Dawny system wartości, który elita ma tworzyć i wyznawać, na naszych oczach legnie w gruzach, ale nie oznacza to, że w przedstawieniu zostaje unieważniony. Wielkość wizji Warlikowskiego polega na tym, że z nieprawdopodobnym wyczuciem odmalowuje na scenie także współczesny nam, wszechogarniający lęk. „Francuzi” opowiadają o końcu świata de Guermantesów, ale również o krachu dzisiejszych elit. W pierwszej scenie bohaterowie pod przewodnictwem pojawiającej się po raz pierwszy w teatrze Warlikowskiego Agaty Buzek wywołują ducha Alfreda Dreyfusa, którego bezpodstawne oskarżenie o zdradę

skraplając w sobie wszystkie cechy pewnej swego prymatu, a jednocześnie wypalonej do cna królowej salonu. Cielecka ma wycucie każdej frazy, spojrzenia i gestu. Ledwie dostrzegalnie bawi się słowami Prousta, gdy trzeba, pozwala dojść do głosu całkiem współczesnym emocjom. Marek Kalita cieniuje postać jej męża Błażeja jako cynicznego gracza, w każdej możliwej chwili celebrującego swą władzę i pozycję. W otwarciu komediowe tony, choć ze wspaniałą subtelnością, uderza Ewa Dałkowska w podwójnej partii księżnej Parmy i królowej Neapolu. Do nich należą długie, konwersacyjne w sumie sekwencje podczas przyjęć w domu de Guermantesów. Wybrzmiewają z cienkim jak brzytwa humorem, idealnie dozowanym przez reżysera i aktorów, żelazną dyscypliną, porównaną przez kogoś wręcz do inscenizacji Jerzego Jarockiego. To porównanie nie do końca trafne, gdyż Warlikowski buduje nastroje, cały czas jednocześnie je podmi-

jęcy trafnie koniec współczesnej nam Europy i rzucający tekstem Fernando Pessoa i we wściekłym monologu Macieja Stuhra wobec kolejnych nacji najostrejsze oskarżenia. Tyle że poza tym fragmentem jego spektakl nie jest ostrym protest songiem, ale elegią na odejście obecnego porządku.

W ostatniej scenie bohaterowie wychodzą postarzeni, baron de Charlus (Jacek Poniędziałek), niegdyś pierwszy rezoner, trzyma w dłoni kroplówkę. Zmienia się kąt widzenia, patrzymy na nich z perspektywy ich własnego końca. W ten sposób Warlikowski przemycza do „Francuzów” może najbardziej osobistą nutę. Czasu nie da się odnaleźć, pozostaje dopuścić do siebie nieuchronność pożegnania.

„Francuzi” według Marcela Prousta  
| reżyseria: Krzysztof Warlikowski | Nowy Teatr w Warszawie